

Spotkania za oceanem. O Józefie Wittlinie (i nie tylko) z Anną Frajlich rozmawia Maciej Wcisło

Meetings Over the Ocean: A Conversation of Maciej Wcisło with Anna Frajlich
On Józef Wittlin (and More)

Maciej Wcisło (M.W.): Naszą korespondencyjną rozmowę chciałbym poświęcić przede wszystkim twórczości Józefa Wittlina, bowiem w tym roku przypada setna rocznica pierwszego wydania jego *Hymnów*¹. Naturalnie będziemy poruszać także zagadnienia związane z dwudziestowieczną polską emigracją oraz Stanami Zjednoczonymi. Proszę powiedzieć na początek, czy miała Pani okazję poznać Wittlina osobiście? Jeśli tak, to, czy pamięta Pani okoliczności tego spotkania, oraz to, jakie pisarz zrobił na Pani wrażenie?

Anna Frajlich (A.F.): Miałam okazję osobiście zobaczyć Wittlina, ale nie poznać. Mógł to być rok 1976. Zaczęłam wówczas uczyć się na studia doktoranckie na New York University i poznałam bliżej profesor Zoyę Yurieff, dzięki której te studia w ogóle zaczęłam, i ona, wówczas już autorka książki o Wittlinie, wspomniała kilka razy, że postara się mnie poznać z pisarzem. W Polskim Instytucie Naukowym w Nowym Jorku odbyło się spotkanie i miałam okazję Wittlina zobaczyć i wysłuchać, ale nie poznać. Był otoczony znajomymi i nie wypadało się przepychać. Wkrótce później zachorował i zmarł. Wówczas już od paru lat publikowałam wiersze w „Wiadomościach”, tam czytałam o nim od czasu do czasu, pewnie czytałam też jakieś jego teksty. Ale były to pierwsze trudne lata emigracji i nie pamiętam szczegółów. Fakt, że publikowałam w „Wiadomościach”, które podobnie jak paryska „Kultura” były przez powojenną emigrację polityczną prenumerowane i czytane, sprawił, że z czasem

¹ Pierwsze wydanie nakładem poznańskiego „Zdroju”, wyd. 2 w 1927 roku jako *Hymny (wybór)* nakładem Księgarni F. Hoesicka, wyd. 3 w 1929 roku w Wydawnictwie Jakuba Mortkowicza, później opublikowane w przygotowanym przez Wittlina zbiorze poezji, wydanym po jego śmierci w roku 1978. Teksty różnią się między sobą w obrębie każdego wydania, co miało związek z redukcją cech typowych dla poetyki młodopolskiej, ostateczny kształt tekstów nadał im Wittlin, przygotowując się do publikacji tomu swojej poezji, co – jak zaznaczono – nastąpiło po śmierci poety. Analogiczny zabieg „udoskonalenia” tekstu uczynił Wittlin ze swoim przekładem *Odisei* Homera (trzy wydania: 1924, 1931, 1957).

poznałam osobiście wielu przedstawicieli tego kręgu. Należy podkreślić, że powojenna emigracja polityczna nigdy nie identyfikowała się z Polonią. Wówczas – w styczniu 1976 roku – poznałam żonę Wittlina panią dr Halinę Wittlin, a także jego córkę – Elżbietę Wittlin-Lipton, z którą zaprzyjaźniłyśmy się bardzo głęboko.

M.W.: Kiedy po raz pierwszy miała Pani styczność z twórczością Wittlina? Co, Pani zdaniem, czyni jego pisarstwo godnym uwagi?

A.F.: Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie. Nie przypominam sobie. Wątpię, aby to się stało podczas studiów polonistycznych na Uniwersytecie Warszawskim. Prawdopodobnie dopiero w Nowym Jorku. Podejrzewam, że za sprawą rodziców, którzy już w Nowym Jorku natrafili gdzieś na *Mój Lwów* i skłonili mnie do lektury książki o ukochanym, utraconym mieście ich dzieciństwa i młodości. Jeżeli chodzi o *Sól ziemi*, to zdaje się, że najpierw przeczytałam w 1972 roku fragment *Powieści o cierpliwym piechurze*, który ukazał się w „Kulturze” paryskiej². Kiedy przeglądałam tomy Wittlina, widzę setki podkreśleń, napisałam kilka esejów na temat jego pisarstwa, zorganizowałam w Nowym Jorku międzynarodową konferencję w 1996 roku, w rocznicę stulecia jego urodzin i dwudziestolecia śmierci, kilkakrotnie prowadziłam zajęcia z prozy dwudziestolecia międzywojennego na Uniwersytecie Columbia w Nowym Jorku, ale nie podejmę się w wywiadzie, nawet wirtualnym, podsumowania dziedzictwa tej twórczości. Jedyne, co w takiej sytuacji mogę zrobić, to przytoczyć słowa Czesława Miłosza z jego *Traktatu poetyckiego*:

Tam Wittlin ciągle wkłada łyżkę zupy
W zarosłe usta człowieczego głodu³.

Po inne sformułowania odsyłam do moich esejów. Niektóre ukażą się wkrótce w angielskim zbiorze tutaj w Stanach.

M.W.: Pytam, ponieważ taki pierwszy kontakt z pisarzem (poprzez jego tekst czy bezpośredni, twarzą w twarz) to niewątpliwie swego rodzaju doświadczenie inicjacyjne. Ja swoje pierwsze spotkanie z Wittlinem pamiętam bardzo dobrze. Było to na pierwszym roku studiów, podczas ćwiczeń z historii literatury polskiej 1918–1945, kiedy jedną z pierwszych lektur była właśnie *Sól ziemi*. W kolejnym roku akademickim trafiłem na wykład monograficzny prof. Wojciecha Ligęzy o Wittlinie, któremu zawdzięczam niemal całą moją wiedzę na jego temat i ugruntowanie we mnie tej naukowej pasji, później napisałem pracę licencjacką o *Moim Lwowie*, mieście, z którym Pani i ja również jesteśmy

² J. Wittlin, *Zdrowa śmierć*, „Kultura” 1972, nr 7–8, s. 75–92.

³ C. Miłosz, *Traktat poetycki* [w:] tegoż, *Wiersze*, t. 2, Kraków 1987, s. 20.

związani, zaprzyjaźniłem się z panią Elżbietą Wittlin-Lipton, a teraz piszę o nim pracę magisterską... Wstyd przyznać, ale przed stycznością z *Solą ziemi* na zajęciach uniwersyteckich nie słyszałem nigdy wcześniej nazwiska Wittlina. Czy to dowód na nieobecność jego i wielu innych znakomitych polskich pisarzy emigracyjnych w szkole?

A.F.: W szkole i nie tylko w szkole. Moi studenci kontaktowali się w Polsce z rówieśnikami, którzy mówili im, że nie słyszeli o kilku książkach, które oni czytali w Nowym Jorku na moich zajęciach, szczególnie właśnie na seminarium „Bestsellers of Polish Prose”. Ja sama podczas pisania pracy magisterskiej na Uniwersytecie Warszawskim w 1965 roku musiałam jeździć do biblioteki prohibitorów, aby przeczytać *Człowieka wśród skorpionów* Czesława Miłosza. Lata później, kiedy Miłosz dostał Nobla, pani Halina Wittlin była w Polsce z wizytą i tam weszła na wystawę w PIW-ie poświęconą pisarzowi. Zapytana, co widziała, powiedziała, że zdjęcie i antologię otwartą na stronie z wierszami Miłosza. A przecież w takiej chwili organizatorzy mogliby zaryzykować i wyłożyć książki wydane przez paryską „Kulturę”, które trzymane były w prohibitorach. Pisarze emigracyjni, nawet wybitni, nie istnieli w świadomości polskich czytelników.

W roku 1953 w Polsce wstrzymano przedmowę Wittlina do wydania *Trans-Atlantyku*⁴ Witolda Gombrowicza, w 1994 w Stanach wyszedł przekład tej powieści, ale wstęp Wittlina zastąpiono wstępem Stanisława Barańczaka. Tu już nie było peerelowskiej cenzury. Jednak ten nonszalancki stosunek do pisarzy emigracji pozostał na długo w świadomości. Należy oddać sprawiedliwość tym badaczom, którzy sięgnęli po twórczość pisarzy emigracyjnych. Na konferencję w 1996 roku z Polski zaprosiłam naukowców, którzy zajmowali się twórczością Wittlina: Krystynę Jakowską, Jerzego Jarzębskiego, Zygmunta Kubiaka, Wojciecha Ligęzę, Józefa Olejniczka. Ich znakomite teksty znalazły się w redagowanym przeze mnie tomie *Between Lvov, New York, and Ulysses' Ithaka. Józef Wittlin, Poet, Essayist, Novelist* (2001). Udział wzięli także naukowcy ze Stanów oraz innych krajów. Było to ważne wydarzenie, którego otwarcie odbyło się w Fundacji Kościuszkowskiej, następnego dnia kontynuowaliśmy konferencję na Uniwersytecie Columbia.

M.W.: Przytoczyła Pani fragment Miłoszowego *Traktatu poetyckiego*, w którym znajdujemy nawiązanie do bardzo przejmującego *Hymnu o łyżce zupy* Wittlina. Utwór zawiera wyliczenie żołnierskich trudów i upokorzeń związanych z pierwszą wojną światową. Jednocześnie nieznanym jest ludziom sens tych poświęceń, a żołnierza, nazywanego przez podmiot mówiący bratem, czeka śmierć. W jej obliczu prosi o łyżkę zupy. Czy mogłaby Pani powiedzieć o swoich odczytaniach tego utworu?

⁴ Por. K. Budrowska, *Literatura i pisarze wobec cenzury PRL 1948–1958*, Białystok 2009, s. 59–60.

A.F.: Na jednych z zajęć zapoznałam studentów z *Hymnem o łyżce zupy* napisanym w 1918 roku, a więc już po Wielkiej Wojnie. Mam również od Elżbiety Wittlin-Lipton nagranie tego wiersza przez poetę, więc studenci mogli usłyszeć jego głos. Kilka dni potem jedna ze studentek zwierzyła mi się, że przeczytała ten wiersz podczas rodzinnej kolacji w Dniu Dziękczynienia, aby uczcić pamięć brata, który zginął na wojnie w Wietnamie. Utożsamienie rodzinnej tragedii z tym niezwykłym wierszem głęboko mnie poruszyło. Od tego czasu przez wszystkie lata czytałam ze studentami *Hymn o łyżce zupy* przed Dniem Dziękczynienia, przypadającym w czwarty czwartek listopada. Moi studenci pisali bardzo interesujące i wzruszające komentarze na temat tego hymnu.

M.W.: Znam wspomiane przez Panią nagranie, znalazło się w filmie dokumentalnym o Wittlinie, który pokazywał nam podczas zajęć prof. Ligęza, dostałem je również od Elżbiety Wittlin. W autorskim wykonaniu słyhać doskonale muzyczność utworu, na którą to cechę wielokrotnie zwraca uwagę córka pisarza. Pisze o tym również Zofia Starowieyska-Morstinowa, wspominając zjazdy poetów w Pławowicach – podczas jednego z nich Wittlin był obecny i recytował swoje hymny. Autorka wspomnień odnotowała: „Každy prawie utwór czytany przez swego autora w jakiś sposób bierze. Jest sugestywny”⁵. Trudno nie przyznać jej racji. Jest to recytacja naznaczona autorską interpretacją, akcentująca to, co dla autora w jego utworze było najistotniejsze. Można to wyczuć chociażby w ostatnim wersie utworu, odnoszącym się do łyżki zupy, który autor wypowiedział z pełnymi dramatyzmu pauzami i przejęciem: „Którą dziś... na próżno... chcę ci dać”. Muszę przyznać, że jestem zaskoczony Pani anegdotą o funkcjonowaniu hymnu w rodzinie Pani studentki. To jednak dobitnie pokazuje, że opisywane przez Wittlina idee są uniwersalne – ponadczasowe i ponadnarodowe.

Jeśli już przywołałam Panią Elżbietę, to warto tutaj wspomnieć, że (jej zdaniem) w Pani życiu istotną rolę odegrała Yurieff, wykładowczyni i autorka pierwszej monografii twórczości Józefa Wittlina, którą Pani staraniem udało się przetłumaczyć na język polski⁶. Co może Pani o niej powiedzieć? Czy był ktoś jeszcze, kto miał tak duże znaczenie w Pani emigracyjnym życiu?

A.F.: Dwie osoby szczególnie wpłynęły na moje losy po wyjeździe z Polski. Bez ich inicjatywy nigdy nie doszłabym do tego punktu, w którym się znajduję. Już w Rzymie zdałam sobie sprawę, że wiersze, które zaczęłam pisać po traumie

⁵ Z. Starowieyska-Morstinowa, *Ci, których spotykałam*, wyd. 2 uzup., Warszawa 1993, s. 49.

⁶ Z. Yurieff, *Joseph Wittlin*, New York 1973. Wydanie polskie: Z. Yurieff, *Józef Wittlin*, tłum. M. Szczubiałka, Warszawa 1997. O znajomości Haliny Wittlin i Anny Frajllich Elżbieta Wittlin-Lipton wspomina również w udzielonym wywiadzie: *Mój ojciec żył pisaniem, ono go pochłaniało. Z Elżbietą Wittlin-Lipton rozmawia Wojciech S. Woclaw* [w:] *Etapy Józefa Wittlina*, red. W. Ligęza, W.S. Woclaw, Kraków 2014, s. 240.

wygnania, są głębsze, mocniejsze od tych złożonych w wydawnictwie w Polsce w 1969 roku. I tam, w Rzymie, zaczęłam czytać „Wiadomości” londyńskie i paryską „Kulturę”. W pierwszej połowie 1972 roku wysłałam do „Wiadomości” kilka wierszy. Dostałam entuzjastyczną odpowiedź od Stefanii Kossowskiej (1909–2003), która właśnie przejęła redagowanie pisma, podczas choroby Michała Chmielowca, następcy założyciela i redaktora Mieczysława Grydzewskiego. Pani Stefania natychmiast wydrukowała wiersze nawet bez przysyłania do korekty. Ten mój emigracyjny debiut i dalsze publikacje w „Wiadomościach” sprawiły, że w kręgu polskiej emigracji politycznej moje nazwisko zaczęło być rozpoznawalne. Kiedy spotkałam Miłosza kilka lat później, nie musiałam mówić, jak się je pisze. Chociaż on sam od „Wiadomości” trzymał się z dala. Wprawdzie zarobkowo pracowałam w laboratorium, zaczęłam już jednak być poetką.

Na jakimś spotkaniu w Fundacji Kościuszkowskiej Halina Rodzińska, wskazując na mnie, powiedziała do Kary Falenckiej: „To jest pani Zajęcowa”. Na co Falencka: „Co ty mówisz, to jest Anna Frajlich, poetka polska”.

O mojej współpracy z „Wiadomościami” można przeczytać w świetnie opracowanym przez Annę Supruniuk zbiorze listów Stefanii Kossowskiej do mnie, pod tytułem *Definicja szczęścia*⁷. Wszystko, co potem się stało, zawdzięczam tej decyzji Kossowskiej, która była uznanym autorytetem w środowisku tak zwanej drugiej emigracji.

Prof. Zoję Yurieff (1922–2000) poznałam w 1976 roku dość przypadkowo, na jakimś wydarzeniu na Uniwersytecie w Nowym Jorku. Ktoś zapoznał mnie z nią, wspominając, że pisze wiersze. Zapytała: „Jak nazwisko?”. Kiedy powtórzyłam, powiedziała: „I to dobre wiersze”. Kiedy na pytanie, co robię, odpowiedziałam, że pracuję w laboratorium, zawyrokowała: „Pani miejsce jest na uniwersytecie. Proszę złożyć podanie, a ja napiszę list polecający”. W ten sposób znalazłam się na studiach doktoranckich Wydziału Sławistyki, głównie ruscystyki, na New York University, gdzie po wielu latach, już pracując na Uniwersytecie Columbia, obroniłam pracę doktorską *The Legacy of Ancient Rome in the Russian Silver Age*. Tak więc inicjatywie tych dwóch kobiet zawdzięczam to, co osiągnęłam na emigracji. Wspomnieć należy o latach ciężkiej pracy, pieniądze na studia i wielu poświęceniach.

Ze Stefanią Kossowską i Zoyą Yurieff pozostawałam w przyjaźni do ich ostatnich dni. Byłam bardzo szczęśliwa, kiedy Joseph Gore, ówczesny prezes Fundacji Kościuszkowskiej, zgodził się na moją prośbę sponsorować polski przekład i wydanie monografii prof. Yurieff o Wittlinie w Polsce.

⁷ S. Kossowska, *Definicja szczęścia. Listy do Anny Frajlich 1972–2003*, oprac. A. Supruniuk, Toruń 2007.

M.W.: Elżbieta Wittlin w rozmowach ze mną podkreślała również Pani serdeczny stosunek do Haliny Wittlin, swojej mamy (z którą *notabene* przeprowadziła Pani niegdyś wywiad⁸). Czy mogłaby Pani opowiedzieć o niej coś więcej?

A.F.: Żonę Józefa Wittlina, dr Halinę Wittlin (1900–1994), z domu Hendelman, poznałam najprawdopodobniej przez prof. Yurieff. Przed wojną w Warszawie pracowała w Ministerstwie Oświaty, a w Nowym Jorku, dokąd Wittlinowie przybyli w 1941 roku, w Liceum Francuskim oraz uczyła języka i literatury polskiej na New York University.

Dla wszystkich, którzy ją znali, Halina Wittlin była uosobieniem kultury, taktu i elegancji, była też przedstawicielką nieistniejącej już klasy przedwojennej inteligencji. Każde arcydzieło literatury światowej czytała w języku oryginału – Dantego po włosku, Marcela Prousta po francusku, Thomasa Manna po niemiecku. Wychowana jeszcze podczas zaborów znała doskonale język rosyjski i umiała recytować tytuły wszystkich członków rodziny carskiej, bo tego wymagano na państwowych egzaminach. Posiadała nieprzebrany skarbiec wiadomości, anegdot i ciekawostek z przedwojennego i emigracyjnego życia literackiego, miała też duży dar opowiadania. Zagadnięta, czy spisuje swoje wspomnienia, odpowiedziała słowami Racheli z *Wesela*: „Gust ten właśnie wielki miałam, żeby nie pisać”. Postanowiłam wykorzystać ten jej dar i we wrześniu 1983 roku przeprowadziłam wywiad. Dość ciekawy moim zdaniem, ale dopiero w 1990 roku udało mi się go opublikować w „Więzi”. Co też o czymś mówi.

Pani Halina utrzymywała rodzinę, prowadziła dom i przepisywała na maszynie teksty męża. Była towarzyska, miała duże poczucie humoru. Odwiedziłam ją parę razy w mieszkaniu w Riverdale, w lipcu 1990 roku pojechałyśmy tam z Renatą Gorczyńską. Ostatni raz odwiedziłam ją niedługo przed śmiercią, w znanym ośrodku rehabilitacyjnym przy 110 Ulicy w Manhattanie.

M.W.: Poznając życie Wittlinów, widzimy wyraźnie, że Halina Wittlin była niezwykle dzielną kobietą i to na niej właśnie, jak Pani podkreśla, ciążył obowiązek utrzymywania rodziny. Dodam, że teksty męża przepisywała mimo wyczerpującej pracy zarobkowej, dojazdów do pracy i wielu innych obowiązków domowych... Tym sposobem przechodzimy do kwestii warunków życia Wittlinów w USA. W tekstach Józefa Wittlina dostrzegamy ambiwalentny stosunek do Stanów Zjednoczonych. Było to miejsce, które stało się jego ocaleniem przed piekłem XX wieku, i chociaż pisarz miał poczucie, że nie wypada krytykować gospodarza, to jednocześnie wyraźnie dostrzegał wyższość kultury europejskiej nad amerykańską. Na drugim biegunie sytuuje się postawa Kazimierza Wierzyńskiego, który zupełnie inaczej podszedł do tego tematu i starał

⁸ *Skamandryci w Nowym Jorku. Z Haliną Wittlin rozmawia Anna Frajlich*, „Więź” 1990, nr 11–12, s. 106–116.

się dostrzegać pozytywne strony kultury kraju, w którym się znalazł. W swoim tekście pisze Pani, że:

Dla Wittlina jednym z najbardziej irytujących aspektów życia na obczyźnie był stan bycia „nieznanym”. W eseju *The Splendor and Squalor of Exile* autor z goryczą wspomina konieczność literowania nazwiska, niegdyś dobrze znanego czytelnikom. W jednym z listów do Manfreda Kridla Wittlin wyraża rozżalenie przekreśleniem przez uniwersyteckich studentów literatury polskiej jego nazwiska na zaproszeniu na imprezę literacką⁹.

A.F.: To jest temat jak rzeka i trudno na to pytanie odpowiedzieć. Przeczytałam nawet jeszcze raz esej Wittlina *Blaski i nędze wygnania*. Autor *Soli ziemi* przyjechał tutaj jako pisarz znany w Europie. W USA dużo mniej, ale w 1943 roku drugie wydanie przekładu *Soli ziemi* po angielsku zostało docenione przez American Academy of Arts and Letters oraz National Institute of Arts and Letters, co nie znaczy, że przeciętny Amerykanin książkę przeczytał lub zapamiętał pisownię i wymowę nazwiska Wittlina. Różnice fonetyczne wymagają każdorazowego potwierdzenia pisowni.

Przypuszczam, że tym przykładem pytania o pisownię jego nazwiska Wittlin posłużył się jako metaforą obcości i anonimowości.

M.W.: A jakie było Pani doświadczenie poznawania Stanów Zjednoczonych?

A.F.: O moich własnych doświadczeniach można przeczytać w zbiorze *Laboratorium*¹⁰ oraz w wielu wierszach i esejach. Ale to nie stanowi kontekstu doświadczeń poetów wygnańców tamtej generacji. Jeżeli ktoś jest zainteresowany tym tematem, powinien zwrócić się do licznych opracowań prof. Beaty Dorosz, autorki wielu książek i prac naukowych poświęconych nowojorskiej „trójcy”.

Ja osobiście włączyłam ten temat do jednego z moich seminariów uniwersyteckich, które były powtarzane co cztery lata: „North America in the Mirror of Polish Literature”, wśród dość bogatej literatury przedmiotu znalazły się teksty Jana Lechonia, Wierzyńskiego, Wittlina o Stanach. To był dość ciekawy program i nawet kiedyś zorganizowałam sympozjum w Fundacji Kościuszkowskiej pod tym samym tytułem. W seminarium udział wziął obecny ambasador Polski w USA – prof. Piotr Wilczek.

M.W.: Polskie środowisko emigracyjne w Stanach Zjednoczonych to bardzo liczna i różnorodna grupa osób. Wiele na ten temat możemy dowiedzieć się ze

⁹ A. Frajlich, *Dwaj żołnierze nieznanymi*, „Konteksty Kultury” 2014, t. 11, nr 4, s. 345 (przypis 62).

¹⁰ Taż, *Laboratorium*, <http://www.wforma.eu/159,laboratorium.html>, forma.sc@pro.onet.pl, dostęp: 20.02.2020.

wspominanej przez nas Pani rozmowy z Haliną Wittlin. Co świadczyło o specyfice tego grona, co mogłaby Pani dodać do tych obserwacji żony pisarza?

A.F.: Polskie środowisko emigracyjne to o wiele większa grupa ludzi niż tylko ci trzej wymienieni już wyżej poeci. W Stanach znalazło się wiele ludzi reprezentujących polską elitę przedwojenną – naukowcy, prawnicy, aktorzy, mniej i bardziej znani pisarze, pracownicy rządowi. Wówczas powstały tu dwa instytuty tamtej emigracji politycznej – Polski Instytut Naukowy oraz Instytut Józefa Piłsudskiego. Fundacja Kościuszkowska natomiast reprezentowała inteligencję wywodzącą się z tak zwanej Polonii, czyli emigracji zarobkowej z końca XIX, początku XX wieku. Mało kto w Polsce to rozumie. Lechoń, Wittlin i Wierzyński jako znani przedwojenni pisarze byli naturalnie swego rodzaju ozdobą tego środowiska. Ale też jako pisarze, którzy nie mieli zawodu przydatnego na emigracji, byli w ciężkiej sytuacji. Warto wgłębić się w ich teksty, nie tylko poezję, ale także eseje, na przykład Lechonia i Wierzyńskiego o Ameryce, żeby zrozumieć ich fascynującą, ale i bardzo depresyjną sytuację.

M.W.: Czy poprzez własne doświadczenie emigracji (wygnania) do Stanów Zjednoczonych odczuwa Pani swego rodzaju wspólnotę doświadczeń z pisarzem?

A.F.: Nie myślę, że jest tu dużo jakichś wspólnych punktów. Kiedy przyjechałam do Stanów, nie miałam żadnych oczekiwań. Sądziłam, że powinnam pożegnać się z jakimikolwiek aspiracjami. Tymczasem sama sytuacja wygnania pogłębiła moje spojrzenie na świat, a charakter kraju i środowisk, z którymi się zetknęłam, sprawiły, że działałam więcej, niż to byłoby możliwe, gdybym nie wyjechała. W pierwszym roku pobytu uczyłam języka polskiego na Uniwersytecie Stanowym w Stony Brook, potem ktoś im zaproponował, że będzie uczyć za darmo, i straciłam tę posadę. Pracowałam cztery lata w laboratorium, to była dla mnie prawdziwa szkoła życia w Ameryce, a potem studia, pisanie dla Wolnej Europy i Columbia.

M.W.: Kiedy rozpoczęła Pani swoją pracę naukową poświęconą polskim pisarzom emigracyjnym?

A.F.: Nie zajmowałam się naukowo tą tematyką. Wszystko wynikało jakby z przypadku. W 1976 roku pracowałam kilka tygodni w „Nowym Dzienniku”, zbiegło się to z dwudziestą rocznicą śmierci Lechonia, musiałam napisać krótki tekst. Czułam się bardzo skrupowana, że ludzie, którzy będą to czytali, mogli go znać osobiście. Ale jakoś to wyszło, a potem – nie pamiętam, kiedy – zorganizowano spotkanie w Polskim Instytucie Naukowym, które opracowałam i prowadziłam. Też z pewnym skrupowaniem, z Londynu przyjechali wówczas profesor Tymon Terlecki z żoną, znaną aktorką Tolą Korian, która czytała wiersze Lechonia.

Na studiach doktoranckich w Uniwersytecie Nowojorskim moja profesor – Zoya Yurieff skłoniła mnie do analizy porównawczej *Wenecji* Aleksandra Błoka w tłumaczeniu Wierzyńskiego opartej na teorii przekładu Romana Ingardena. Yurieff, specjalistka od Mikołaja Gogola i rosyjskiego symbolizmu, podczas wojny we Lwowie była studentką Ingardena, a w Stanach przekładała wiersze Wierzyńskiego na rosyjski i napisała pierwszą monografię o Wittlinie. Boleję, że w Polsce te jej inicjatywy nie są dostatecznie doceniane.

Z czasem dostawałam zamówienia na recenzje korespondencji lub książek pisarzy emigracyjnych, ale nigdy nie specjalizowałam się naukowo w tej tematyce jako takiej.

M.W.: Niestety, obawiam się, że gdyby nie polski przekład monografii Wittlina, który Pani staraniom zawdzięczamy, świadomość zasług Yurieff w promowaniu literatury polskiej byłaby właściwie żadna, dlatego to bardzo ważne, że ją Pani wspomina.

W cytowanym przeze mnie tekście *Dwaj żołnierze nieznani* dokonuje Pani zestawienia – *Sól ziemi* Wittlina z *Pierwszym człowiekiem* Alberta Camusa. Z jakimi innymi pisarzami europejskimi zestawiałaby Pani Wittlina, czy wśród innych twórców dostrzega Pani podobne analogie warte opracowania?

A.F.: Takie zestawienia zostały już dawno zrobione, tradycyjnie *Sól ziemi* porównywana była ze słynnymi powieściami – Ericha Marii Remarque’a *Na Zachodzie bez zmian* oraz Jarosława Haszka *Przygody dobrego wojaka Szwejka*. Yurieff analizowała obrazy pierwszej wojny światowej w powieści Wittlina i *Sierpień, czternastego* Aleksandra Sołżenicyna¹¹. Przy lekturze ostatniej powieści Camusa uderzyły mnie paralele losu tych dwóch postaci, a także zafascynowały paralele w widzeniu tej wojny przez tych dwóch autorów. Może istnieją jeszcze jakieś inne możliwości porównania.

M.W.: Czy twórczość Józefa Wittlina była w jakimś stopniu inspiracją dla Pani własnej twórczości poetyckiej?

A.F.: W odpowiedzi na to pytanie zacytuję profesora Jerzego Madejskiego, który w szkicu *Wiersz, Szczecin, Arkadia Taniec – miasto Anny Frajlich*¹² pisze:

¹¹ Z. Yurieff, *The Image of World War I in “The Salt of the Earth” by Józef Wittlin and in “August 1914” by Alexander Solzhenitsyn* [w:] *Between Lvov, New York and Ulysses’ Ithaca. Józef Wittlin. Poet, Essayist, Novelist*, red. A. Frajlich, Toruń–New York 2001 (Archiwum Emigracji, t. 10), s. 3–23.

¹² J. Madejski, *Wiersz, Szczecin, Arkadia Taniec – miasto Anny Frajlich* [w:] *Adlojada. Szczecińskie pasaże*, red. J. Brejda, D. Kacprzak, B.M. Wolska, Szczecin 2012, s. 203–211.

Jako badaczka literatury Frajlich zajmowała się między innymi twórczością Józefa Wittlina. (...) Wittlin jako poeta i eseista skonstruował nowoczesny „język” opisu emigracji. (...) W twórczości Frajlich łatwo znajdziemy potwierdzenie rozpoznania Wittlina. To, co poeta zobrazował pustynią, poetka zilustrowała opisem wyspy¹³.

Wgłębienie się w twórczość Wittlina podczas organizowania międzynarodowej konferencji na Columbii, a potem redagowania książki konferencyjnej miało wpływ na moje spojrzenie na wiele spraw. Bardzo przejęło mnie stwierdzenie, że *Hymn o bżycze zupy* napisany został już po zakończeniu wojny, podczas walk wokół Lwowa. W jednym z ostatnich wierszy wróciłam do tego stwierdzenia poety.

Ponadto, jak już wspomniałam, rodzice moi pochodzą ze Lwowa i *Mój Lwów* był pierwszą książką Wittlina, którą dostałam od matki.

M.W.: Czy uważa Pani, że twórczość Wittlina jest dziś dobrze znana w kraju i za granicą? Jak zmieniła się sytuacja, którą opisywała Pani w *Słowie wstępnym* do redagowanego przez Panią tomu pokonferencyjnego¹⁴?

A.F.: Na to pytanie nie mam jakiejś odkrywczej odpowiedzi. Sytuacja na tyle się zmieniła, że wyszły nowe przekłady, w Anglii ukazała się *Sól ziemi* w przekładzie Patricka Johna Cornessa, a w 2016 roku, w tym samym wydawnictwie Pushkin Press w Londynie, *Mój Lwów* w tłumaczeniu Antonii Lloyd-Jones. We Francji jakiś czas temu pojawił się nowy przekład *Soli ziemi* Alice Catherien Carls, którą w 1995 roku zaprosiłam na konferencję i stąd jej zainteresowanie Wittlinem. Bardzo wiele zależy od istnienia przekładów i ich nagłośnienia. Jest moment, kiedy jakiś pisarz, nawet emigracyjny, znajduje się nagle w centrum zainteresowania, a potem wszyscy zapominają.

M.W.: Powoływałam się na tom pokonferencyjny, ponieważ była Pani organizatorką międzynarodowej konferencji poświęconej Wittlinowi. Czy mogłaby Pani podzielić się szczegółami z jej organizacji i przebiegu?

A.F.: Jerzy Giedroyc tak ocenił program, który mu wysłałam: „Wygląda bardzo ciekawie. Na tym tle analogiczna sesja w Muzeum Literatury w Warszawie wygląda dość blado”. W ówczesnej prasie emigracyjnej było kilka ciekawych artykułów i wywiadów. Pomysł tej konferencji podsunął mi w Chicago Tymoteusz Karpowicz, który w roku 1993 przed pójściem na emeryturę na swoim ostatnim seminarium zajął się moim skromnym wówczas dorobkiem.

¹³ Tamże, s. 206.

¹⁴ A. Frajlich, *Słowo wstępne* [w:] *Between Lvov...*, s. XV–XIX. W tomie pokonferencyjnym znajduje się również anglojęzyczny pierwodruk tekstu Frajlich *Dwaj żołnierze nieznanymi* (*Two Unknown Soldiers*).

Byliśmy już wtedy dość zaprzyjaźnieni, on miał na swoim koncie trzy międzynarodowe konferencje w Chicago poświęcone kolejno Cyprianowi Kamilowi Norwidowi, Bolesławowi Leśmianowi i Julianowi Przybosiowi. Powiedział, że ja również powinnam coś zorganizować i podczas tej rozmowy pojawiło się nazwisko Józefa Wittlina. Później, kiedy chciałam go namówić na udział, odpowiedział, że Wittlin go tak bardzo nie interesuje.

Mój pomysł spotkał się z bardzo negatywną, a nawet agresywną reakcją ówczesnego polonisty na Columbii – Harolda Segela. Nie tylko sprzeciwił się temu pomysłowi, ale zagroził, że będzie blokował moje aplikacje w zarządach organizacji, w których zasiadał. Na szczęście tylko jedna organizacja uległa jego protestowi. Przygotowywanie konferencji zajęło mi półtora roku, a jak wynika z korespondencji, udało mi się zebrać 11 000 dolarów, głównymi sponsorami były dwie Fundacje – Kościuszkowska i Jurzykowskiego, zgłaszali się też sponsorzy prywatni, a ówczesny konsul Jerzy Surdykowski wynegocjował z LOT-em zniżki na bilety dla uczestników z Polski.

Patronat naukowy objął nasz Wydział Sławistyki oraz Instytut Europy Wschodniej i Środkowej na Columbii, oni wszyscy odnieśli się bardzo serdecznie do mojej inicjatywy. Konferencji towarzyszyły wystawa w Bibliotece Uniwersyteckiej i kilka spotkań towarzyskich. Sale na wszystkich spotkaniach były wypełnione. Elżbieta Wittlin-Lipton zorganizowała prywatne przyjęcie.

Przypomina mi się zawsze parę anegdot. Bardzo pomagał mi kierownik katedry prof. Robert Belknap, niezwykle ceniony rusycysta, który był zresztą w młodości studentem profesora Kridla i znał polski. Kiedyś przyszedł do niego i mówię, że znów dostałam list od prof. Segela. Belknap zapytał: cztery strony? Na moje potwierdzenie tylko pokiwał głową. I bardzo wiele mi pomógł, a podczas konferencji powitał gości w imieniu uniwersytetu.

Miłosz wyraził chęć uczestniczenia w konferencji, co bardzo mnie ucieszyło, ale parę dni przed samym wydarzeniem, kiedy już programy i plakaty były wydrukowane, zmienił zdanie. Powiedział, że żona się nie zgadza, a ponadto był zdumiony, że spodziewam się, że będzie spał w akademiku. Oczywiście nie był to akademik, ale hotel uniwersytecki. Nie miałam funduszków na eleganckie hotele. Otwierając konferencję, skwitowałam nieobecność Miłosa: „W ostatniej chwili Miłosz zawiadomił mnie, że nie może przyjechać, ale konferencja nie jest o Miłoszu tylko o Wittlinie i **on jest z nami**”. Wszystkim bardzo podobało się to rozwiązanie i przez następne dwa dni rzeczywiście czuliśmy obecność autora *Soli ziemi*. Wśród osób uczestniczących w konferencji były takie, które go dobrze znały, jak na przykład profesor Elizabeth Kridl Valkenier, a wśród słuchaczy było ich więcej.

Dzięki Elżbiecie Lipton-Wittlin Fundacja Dreyfusa w Nowym Jorku podarowała Archiwum Columbii piękny portret Józefa Wittlina pędzla Emanuela Romano. Po latach wpadłam na pomysł, aby wydobyć ten portret z mrocznego wnętrza archiwów i umieścić go na wydziale. Wymagało to wielu starań i formalności, lecz od 2005 roku wypożyczony portret Józefa Wittlina zdobi

gabinet kierownika katedry na siódmym piętrze w budynku Hamilton na Columbii. Mało kto wie, czyj to jest portret, ale przekazałam informację do wydziału i mam nadzieję, że zainteresowani dotrą do niej.

M.W.: Reakcja prof. Segela na Pani inicjatywę wydaje mi się zupełnie irracjonalna. W przypadku Czesława Miłosza – szkoda, niestety nie dowiemy się, co chciał powiedzieć na temat Wittlina, dlatego zostawmy te dociekania. Ma Pani bardzo bogate doświadczenie w kwestii nauczania obcokrajowców literatury i kultury polskiej. Co najbardziej interesowało Pani studentów w naszej literaturze?

A.F.: Głównym pytaniem jest tutaj nie co ich interesowało, tylko jak do tego podchodzili. Doświadczenia nabierałam w miarę praktyki. Początkowo zaczęłam od tradycyjnych tematów, na przykład poezja XIX i XX wieku, Mickiewicz, romantyzm. Z czasem odważyłam się formułować swoje własne zestawy lektur, wśród nich moje ulubione to „Bestsellers of Polish Prose” obejmujące powieści dwudziestolecia międzywojennego, wśród nich kilka, których w Polsce wówczas nie czytano. Tutaj też znalazła się *Sól ziemi* Wittlina, a także Michał Choromański, Sergiusz Piasecki, Bruno Jasiński, Maria Kuncewiczowa, prócz tych ogólnie znanych pisarzy dwudziestolecia. Oczywiście musiałam ograniczać się do dzieł przetłumaczonych, bo nie wszyscy znali polski, toteż na przykład *Przedwiośnie* znalazło się na tej liście później.

Inne seminaria to „Unbound and Post Dependent: The Polish Novel after 1989”, wspomniana „North America in the Mirror of Polish Literature” oraz „Polish Short Story in the Comparative Context”. To ostatnie zaczynało się od czytania tak obecnie aktualnego *Dekameronu*. A także, jak zaznaczyłam, większość tradycyjnych kursów. Były też zajęcia indywidualne ze studentami, którzy wybierali polską literaturę jako dodatkową specjalność, wówczas sami decydowali, co chcą opracowywać. Jak ktoś nie miał własnego programu, to namawiałam na *Wesele* Stanisława Wyspiańskiego.

Moi studenci zaskakiwali mnie swoim spojrzeniem na polską literaturę. Podchodzili do niej z własnej perspektywy. Kiedyś wysłałam Tadeuszowi Różewiczowi prace moich studentów o jego noweli *Grzech* i poeta natychmiast posłał to do „Kwartalnika Artystycznego” do publikacji. I tak to poszło nawet z błędami językowymi.

M.W.: Wróćmy do Wittlina. Co dla współczesnego czytelnika może być najistotniejsze w jego twórczości? Jakie idee Wittlinowego pisarstwa powinny być dla nas szczególnie bliskie i aktualne?

A.F.: Przede wszystkim przychodzi mi na myśl fakt, że podobnie jak w przededniu pierwszej wojny światowej znajdujemy się w atmosferze niebezpiecznej

polaryzacji stanowisk, stawiamy na to, co nas dzieli, a to właśnie wówczas doprowadziło świat do wojny.

Tak jak wracaliśmy podczas epidemii do lektury *Dekameronu* Boccaccia, *Dżumy* Camusa, lub *Dziennika roku zarazy* Daniela Defoe, warto sięgnąć po *Sól ziemi*, aby przypomnieć sobie, jak bezcenne jest każde ludzkie życie. Każde. I przede wszystkim odwaga cywilna Wittlina jako pisarza powinna nas wiele nauczyć – on nie był zarażony ani zauroczony żadną ideologią. Miał odwagę cenić to, co w etyce najważniejsze – drugiego człowieka niezależnie, kim on był. To byłyby te dwie najważniejsze lekcje.

M.W.: Zdecydowanie popieram Pani zdanie w tej kwestii. Bardzo Pani dziękuję za rozmowę, która przybliży naszym czytelnikom Józefa Wittlina widzianego z innej perspektywy niż ta dostępna podczas lektury jego tekstów. Jako dopełnienie naszej rozmowy umieszczamy Pani wiersz poświęcony Halinie Wittlin.

A.F.: I ja dziękuję, że mnie Pan zmobilizował.

Rozmowę przeprowadzono drogą mailową.

Nikt nie woła

Halinie Wittlin

Nikt go nie wołał
 – choć jego wołanie doszło ich
 poprzez stopy noc i skrzyp szlabanów –
 więc powtarzając „Jedźmy” jechał dalej
 i perły rzucał tym
 co nie wołali¹⁵.

¹⁵ A. Frajlich, *Nikt nie woła* [w:] *też*, *Ogrodem i ogrodzeniem*, Warszawa 1993, s. 24.